Czasu na sny o Kalkucie mieliśmy aż nadto, bo pociąg przyjechał do Jalgaon po nas opóźniony i niestety musiał po drodze przepuszczać inne pociągi, a więc stał kilka razy po ok.20 minut… Młodzi czas podróży pociągiem praktycznie przespali. Nie wiem jak oni to robią, ale jak się kładą, to śpią jak aniołki i ile wlezie. Z kadrą inaczej. My czuwaliśmy, podsypiajac i kręcąc się z boku na bok w trzęsącym się na torach pociągu.

I tak kokosząc się na swojej pryczy, ja wyprawowy kronikarz, uświadomiłam sobie, że pisząc o Aurangabadzie zapomniałam odraportować, że przy grobie tego, od którego miasto wzięło nazwę też byliśmy. Mary Nowak i Kuba Kaczmarek wygłosili przygotowany o ostatnim z wielkich Mogołów wykład, wskazując dobre i złe strony jego panowania. Że doszukali się dobrych stron tego typa – Aurangzeba… godne podziwu.
A Filip Hornik sypał mu płatki róż na mogiłę. Bez komentarza.

Przejazd pociągiem do Kalkuty zaczął się z kilkugodzinnym opóźnieniem. O tym już pisałam. I jak tylko przyjęliśmy pozycje horyzontalne na naszych miejscach w wagonach, zapadliśmy w błogi sen i spaliśmy chyba do 12tej. Niektórzy z wyprawowiczów (Konrad Książek) przespali prawie całą drogę. Nie jedli, niestety mało pili, przewracali się z boku na bok na niebieskiej, dość twardej pryczy w sleeperze. No i tak jechaliśmy, jechaliśmy… I końca tej podróży widać nie było, bo nasz pociąg, z racji opóźnienia, musiał przepuszczać inne, które miały wjechać na kolejne stację o czasie.

I jak mieliśmy być w Kalkucie ok. 5tej, to byliśmy ok. 13tej – zmęczeni, przepoceni, brudni, głodni i ciekawi Kalkuty, gdzie mieliśmy w planach wolontariat w domach Matki Teresy. Najbardziej podniecony wizją pobytu w Kalkucie był bez wątpienia Łukasz zwany Szotem, który przygotował się do oprowadzenia nas po mieście jako ciccerone, czyli swojsko – przewodnik. Obkuł się niemiłosiernie i chciał nam o wszystkim, co wyczytał opowiedzieć. Problem w tym, że miał konkurenta, który tak jak i on lubi opowiadać (długo…), zna Kalkutę jak własną kieszeń, a w dodatku nikt mu „nie podskoczy” i nie przerwie… (wszyscy wiedzą o kim piszę), więc podczas pobytu i poznawania Kalkuty Szot walczył o głos. Momentami skutecznie.

Po zakwaterowaniu w hotelu Sunflower, tym samym w którym była wyprawa Słowaka w 2019 roku, Grace z Kumarem pojechali wymienić wspólną kasę, kupić bilety na samolot Amritsar – Srinagar i zgłosić naszą ekipę na wolontariat Siostrom Miłosierdzia, a że siostra Maria, szefowa wszystkich szefowowych w zgromadzeniu w Kalkucie, musiała skądś dojechać, to zgłaszanie nas trwało ponad godzinę. A ja w tym czasie wzięłam grupę i poszliśmy na obiad tudzież późny lunch. Bardzo późny, bo kelnerzy i kucharze we wspomnianej knajpie, oględnie mówiąc, nie śpieszyli się… ktoś z nas dostał zamówiony napój, ktoś inny czekał na ten napój dwie i pół godziny. Ktoś dostał danie główne, ktoś inny deser przed głównym. I tak bez końca. Dlatego tego pierwszego dnia nic już nie zobaczyliśmy, prócz hotelu, w którym młodzi wygłosili przygotowane odczyty na wybrane tematy.

A następnego dnia, o 5.30 ruszyliśmy w stronę głównego domu Matki Teresy na mszę i po przydział miejsca wolonatryjnego. Okazało się, że „sis” Maria skierowała chłopców z Kumarem do Daya Dan, Grace z pięcioma dziewczynami do Prem Dan, a mnie z pozostałymi

dziewczynkami do Shanti Dan.

Do Shanti dojechałyśmy miejskim busem (10 rupii = bilet) wraz z kobitkami z Hiszpanii i Włoch, które znały drogę, bo pracowały tam już od ponad tygodnia.
Po założeniu fartuszków zostałyśmy rzucone na „głęboką wodę", czyli zmieniałyśmy pościel, ścieliłyśmy łóżka, prałyśmy, wieszałyśmy w palącym słońcu mokre prześcieradła, powłoczki i ubrania na dachu Shanti Dan. Potem starałyśmy się zająć czas pensjonariuszy i karmiłyśmy ich podczas lunchu. Wszystko to było wyczerpujące pod każdym względem. I podobnie pracowały grupy Kumara i Grace. Zaś po wolontariacie Dyrektor zaordynował spotkanie podsumowujące pierwszy dzień w Kalkucie i zaproponował spacer po mieście, który trwał do zmroku. A Szef był w formie. Maszerował jak młody rekrut, a my wlekliśmy się za nim coraz wolniej i coraz głośniej marudząc. Następnego dnia wolontariat i znowu spacer, tym razem krótszy, połączony z wymianą pieniędzy i zakończony kolacją w restauracjach blisko naszego hotelu. Trzeci dzień miał mieć taki sam scenariusz i po części miał, ale popołudnie miało wypełnić wyjście do kina na film bollywoodzki. Tymczasem nic ciekawego w repertuarze nie znaleźliśmy i skończyło się referatem o polskich uchodźcach w Indiach, który wygłosił Łukasz Szot i prelekcją Ani Gwizdak na temat języków w Indiach.

Dodam jeszcze, że pożegnać się z pensjonariuszami domów Matki Teresy nie było łatwo. Ktokolwiek był tam choć raz, wie, że czas w tych ośrodkach mierzy się inaczej niż poza nimi. Wolontariusze szybko nawiązują kontakt z podopiecznymi, których los zaczyna ich obchodzić bardziej niż wcześniej zakładali. Podarowaliśmy więc im książeczki, kredki, chłopcy kupili dzieciakowi, który obchodził urodziny koszulkę polo, a Filip zostawił nawet okrągłą sumkę Siostrom Miłosierdzia i dzieciakom w Daya Dan.

Wszystko, o czym piszę wdaje się proste, ale… niestety realizację podjętych przez nas zadań utrudniały pogoda, czyli upał, wysoka wilgotność, rzęsiste monsunowe opady raz lub kilka razy w ciągu dnia, a także… problemy gastryczne młodych. No niestety… papier toaletowy stał się na tym etapie wyprawy cenniejszy od szlachetnych kruszców, a tabu językowe polegające na nieporuszaniu tematów związanych z fizjologią ZDECHŁO. My natomiast, czyli kadra, dostawaliśmy tragikomiczne wiadomości typu: Właśnie jestem w toalecie i od razu zrobię update, że jest lepiej, bo można już się łatwo doszukać brył. Nadal dość bezkształtnych, że tak powiem, ale już zdecydowanie nie woda (udostępnione anonimowo, za zgodą doświadczonego).

Pojawiły się też pierwsze głosy sugerujące, że młodzież ma już dosyć potraw z garam masalą i że tęsknią za czymś swojskim (czyt. roladą). My, starszyzna, najbardziej polubiliśmy kram oferujacy świeżo wyciskane soki. Pyyycha w dużym kubku za 60 lub w jeszcze większym za 80 rupii. Ostatni dzień w Kalkucie rozpoczęliśmy śniadaniem przygotowanym przez uczniów (kilka konserw mniej!) i dwoma referatami – Piotrka Stojowskiego i Wiktorii Wollnik. W trakcie wykładów, nawiasem mówiąc interesujacych, przysnęło się Konradowi K. Chyba nikt z nas tego nie zauważył poza Kumarem, który (i na to zwróciłam uwagę) przegrzebał spokojnie plecak, wygrzebał z niego gwizdek, podszedł do drzemiącego Konrada i dmuchnął. Potem lisim krokiem podkradł się z butelką wody do Kuby Kaczmarka, który niefrasobliwie oparł głowę o ramię Marry i zaczynał śnić… Szef to ma metody!

A potem opuściliśmy pokoje (oj, trochę szkoda, bo wygodne) i chcieliśmy pójść na spacer do katedry św. Pawła i Victoria Memorial, ale… Kumar zaczął załatwiać taksówki, które miały nas zawieźć na dworzec wieczorem i utknęliśmy. Samochodów nie było w ogóle albo w dobrej cenie. Minęła dwunasta, trzynasta, a my siedzieliśmy w holu na plecakach, czekajac aż sprawa się rozwiąże i będziemy mogli pójść w miasto. Ostatni raz. Wreszcie wyszliśmy. Miasto było zakorkowane, chodnikami płynął wartki strumień miejscowych. W dodatku zaczęlo lać. Zeszliśmy do metra i podjechaliśmy na stację Maidan, żeby jak najszybciej dotrzeć do katedry i Victoria Memorial. Fasadę katedry odrestaurowano. W środku trwały jeszcze prace konserwatorów, a muzeum VM rozczarowało jeśli chodzi o ekspozycje. No cóż, mówi się trudno. Po obejrzeniu tych dwóch miejsc wróciliśmy do hotelu na szybki prysznic przed wyjazdem pociągiem do Waranasi. Po drodze zdążyliśmy zjeść obiadokolację. Droga na dworzec była średnio zajmująca, a nocleg w niebieskim sleeperze jak zwykle odprężający.